

ROK 2
—
NUMER 4
—
KWIECIEŃ
1947

DROGA

ORGAN RUCHU METODYSTYCZNEGO

Motto: „PRZED OCZYMA PAŃSKIMI SĄ DROGI CZŁOWIECZE, A ON
WSZYSTKIE ŚCIEŻKI JEGO WAŻY”. Przyp. Sal. V, 21.

TREŚĆ ZESZYTU: Rozważanie — A. NIEMOJEWSKI: U grobu — JÓZEF
NAUMIUK: Moja tułaczka — LEONTYNA NAJDEROWA: Trzy rodzaje
sumienia — Kolumna Młodych — Z życia zborów...

* * *



Piękny, radosny poranek owaładnął ziemią. Cała przyroda w sku-
pieniu ciszy czci święto Zmartwychwstania Pańskiego. Dusza ludzka
raduje się swobodą, którą wniosła światłość Zmartwychwstania.
Troska została odjęta a smutek przemienia się w radość. Jakże ina-
czej było w dzień śmierci Zbawiciela. W tamtym dniu „słońce za-
ćmiło się” — dziś „skoro słońce weszło niewiasty poszły do grobu”.
W Wielki piątek ciemność rozpostarła się nad całą ziemią, dziś —
Anioł Boży ukazał się niewiastom w potężnym blasku. Zgromadzeni
u stóp krzyży słyszeli bolesną skargę: „Boże mój, Boże mój, czemuś
mnie opuścił?” W dniu dzisiejszym natomiast modlimy się radośnie:
„BŁOGOSŁAWIONY NIECH BĘDZIE BÓG I OJCIEC PANA NA-
SZEGO JEZUSA CHRYSZTUSA, KTÓRY WEDŁUG WIELKIEGO MI-
ŁOSIERDZIA SWEGO ODRODZIŁ NAS KU NADZIEI ŻYWEJ
PRZEZ ZMARTWYCHWSTANIE JEZUSA CHRYSZTUSA OD UMAR-
ŁYCH, KU DZIEDZICTWU NIESKAZITELNEMU I NIEPOKALANE-
MU I NIEZWIĘDŁEMU, W NIEBIESIECH DLA NAS ZACHOWA-
NEMU...” (1 Piotra 1, 3—4).

Tak jak ciemność rozpostarta dokoła krzyża przypomina i wska-
zuje nam mroki śmierci i grobu, cierpienie Zbawiciela i ból najwier-
niejszych, tak słońce wschodzące nad Grobem Jezusowym przywo-
łuje nas do radości, zwiastując zwycięstwo życia. Tam gdzie jest ja-
sno, gdzie słońce świeci, pierzchają cienie śmierci, przemija noc
smutku: tam prawda święci swe zwycięstwo, cnota tryumf, nadzieja
pociechę znajduje. Z radością witamy świąteczny poranek, idziemy
do Domu Pańskiego z pochwalną pieśnią, wielbiąc cud Boskiej po-
tęgi i łaski. Nasze głosy łączą się z radosnym Alleluja wszystkich
zbawionych, wyzwolonych z pęt grzechu i śmierci, mocą Boga, Ojca
naszego przez naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Od chwili, w której śmierć zamknęła oczy Pana, serca Jego uczniów były pełne bóleści. Ich słowa i rozmowy pełne były wyrazów bólu i skargi nad gorzką stratą. Wie o tym dobrze każdy, kto płakał nad grobem bliskiej, kochanej osoby.. Matka Jezusowa, uczniowie, przyjaciele, wszyscy czuli się opuszczeni i niepocieszeni. Jedyłą może pociechą była troska i staranie o ciało Umęczonego. Składając zabalsamowane zwłoki w grobie oddawali ziemi tego, który był najdroższy, źródło natchnień i radości. Jakież radosne zdziwienie ogarnęło ich wszystkich, kiedy ujrzeli odwalony kamień, grób pusty i Anioła, głoszącego cud zmartwychwstania. Przez ten cud światło zabłyśło im na nowo a w serca wstąpiła radość.

Czyż my, którzy utraciliśmy naszych bliskich, mamy również narzekać i skarżyć się nad grobami ojców, braci, matek i sióstr, jak ci, którzy nie mają nadziei? Czyż nie oderwiemy spojrzenia od ziemi smutku ku wyżynom Bożym? Mamy prawo smuć się naszym własnym opuszczeniem, jak smucili się uczniowie Pana — lecz nie możemy smuć się i niepokoić o tych, którzy odeszli przed oblicze Boże, w ciszę i pokój wieczny. Śmierć nie ma mocy nad tymi, którzy należą do Pana i trwają przy nim w wierze i miłości. „JAM JEST ZMARTWYCHWSTANIE I ŻYWOT; KTO WE MNIE WIERZY, CHOĆBY TEŻ UMARŁ, ŻYC BĘDZIE”. (Ew. św. Jana 11, 25). Ci, co odeszli, mają już za sobą bojowanie ziemskiego żywota, troski, bóle i odmiany losu. W błogosławionej społeczności z Chrystusem wznoszą się coraz wyżej ku doskonałości Bożej, poznając coraz zupełnie prawdę, pożywając z spokojem owoców nieba. Wspomnienie o naszych bliskich zmarłych, świadomość i pewność co do ich wiecznego życia, przypominają i nam naszą drogę ku wieczności, nasz przyszły los i stan.

*

Moc śmierci dotyczy tylko ciała. Życie wieczne nie ulega śmierci. „I WRÓCI SIĘ PRÓCH DO ZIEMI JAKO PRZEDTEM BYŁ, A DUCH WRÓCI SIĘ DO BOGA, KTÓRY GO DAŁ”. (Kazn. Sal. 12, 7). Dla chrześcijanina śmierć jest jedynie przekształceniem przemijającej natury, przejściem do innego, trwałego bytowania. Z radosną wiarą tedy słuchamy zwiastowania św. Pawła:

„...TERAZ CHRYSZTUS Z MARTWYCH WZBUDZONY JEST I STAŁ SIĘ PIERWIASTKIEM TYCH, KTÓRZY ZASNELI. BO PONIEWAŻ PRZEZ CZŁOWIEKA ŚMIERĆ, PRZEZ CZŁOWIEKA TEŻ POWSTANIE UMARŁYCH. ALBOWIEM JAKO W ADAMIE WSZYSCY UMIERAJĄ, TAK W CHRYSZTUSIE WSZYSCY OŻYWIENI BĘDĄ. ALE KAŻDY W SWOIM RZĘDZIE, CHRYSZTUS JAKO PIERWIASTEK A POTEM CI, CO SĄ CHRYSZTUSOWI W PRZYJŚCIE JEGO.

A POTEM BĘDZIE KONIEC, GDY ODDA KRÓLESTWO BOGU I OJCU, GDY ZNISZCZY WSZELKIE PRZEŁOŻEŃSTWO, I WSZELKĄ ZWIERZCHNOŚĆ I MOC. BO ON MUSI KRÓLOWAĆ, PÓKI BY NIE POŁOŻYŁ WSZYSTKICH NIEPRZYJACIOŁ POD NOGI JEGO. A OSTATNI NIEPRZYJACIEL, KTÓRY BĘDZIE ZNISZCZONY, JEST ŚMIERĆ... GDZIEŻ JEST O ŚMIERCI BODZIEC TWÓJ? GDZIEŻ JEST O PIEKŁO ZWYCIĘSTWO TWOJE? A TAK NIECH BĘDZIE BOGU DZIĘKA, KTÓRY NAM DAŁ ZWYCIĘSTWO PRZEZ PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSZTUSA". (1 Kor. 15, 20—26, 55 i 57).

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

U GROBU

Do świtania było niedaleko. Mrok szybko ustępował. Liście osrebrzone grubą powłoką rosy powisły na drzewach, a chłód stał się przejmującym. Żołnierze strzegący grobu poopierali lance o skały i przysiadłszy na ziemi, drzemali. Jednemu tylko sen powiek nie kleił. Patrzył bezmyślnie przed siebie, otrząsał się niekiedy pod wpływem zimna i głośno poziewał. Inni zapadali powoli w sen coraz głębszy, w którym albo nie śnili wcale, albo też snuły się im jakieś marzenia o wygodniejszych leżach i dobrym posiłku.

Żołnierz czuwający spojrzał w stronę wschodu i zaczął się niecierpliwić. Pocałował tedy rozważać, że wodzowie znajdują czasem nie dającą się niczym wytłumaczyć przyjemność w bezcelowym utrudzaniu podwładnych. Oto kazano drugą noc z rzędu pilnować ciała, zawałonego kamieniem w otworze skalnym, ciała, które przecież uciec nie może i cicho spoczywa w głębi skały.

Niebo na wschodzie poczęło się nieco mienić, jakby od łuny, która biła spod widnokregu. Szarość oblała uśpione twarze żołnierzy. Niektórzy westchnęli, podnieśli głowy, odemknęli oczy i spojrzawszy w stronę wschodu, znowu w sen zapadli. Żołnierz czuwający zaczął przebiegać myślą niektóre wieści, krążące uporczywie między tłumem, a zapowiadające, co się trzeciego dnia o świcie stanie, trzeciego dnia od chwili złożenia tych tam zwłok do grobowca w skale. Żołnierz spojrzał na niebo, które z mleczno białego stało się zielonkawo różowym, a różowość ta zamieniła się powoli w karmin. Następnie spojrzał na głąz, zamykający wejście do grobu. Wewnątrz panowała cisza.

Głupi, ciemny tłum baje sam nie wie co! Głąz ten zasuwało szczęściu ludzi. Jakże by go miał jeden umęczony człowiek, leżący drugą noc w grobie i zakrzepły w prześcieradłach, odstawić i wyjść? Ale niebo na wschodzie zajaśniało nagle wachlarzem bijących z dołu promieni, a równocześnie wydało się żołnierzowi, iż jakiś szmer dał się słyszeć w głębi skały. Ale wnet się uspokoił, gdyż głąz się nie

ruszał, tylko coraz wyraźniej występowała z mroku jego bryłowość. Żołnierz odwrócił głowę, lecz oparty o skałę, nadsłuchiwał, czy nie dojdzie go po raz wtóry szmer z głębi grobu. Chłód wiał od skały i przejmował go. Przypadkiem podniósł oczy na niebo i drgnął, gdyż wschód jaśniał, jakby się miał za chwilę zająć złotym płomieniem. Lęk ogarnął żołnierza; odskoczył od skały i potoczył wzrokiem po śpiących towarzyszach. Lecz ujrzał tylko zwieszono aż na kolana głowy, podparte rękami, uśpione, spokojne. Spojrzał na grób. Kamień widniał już jak w biały dzień. Żołnierz odwrócił głowę w stronę wschodu i aż zakrył oczy przed oślepiającą jasnością. Zaczął dzwonić zębami i ogarnęły go dreszcze.

Tłum mówił, że On, On oplwany, obiczowany, cierniami pokaleczony, rozpięty na drzewie, do grobu złożony i zawalony kamieniem, żyje i żyć będzie i że nie ma dość głębokiego grobu, z którego by się nie dźwignął i dość wielkiego kamienia, aby Mu przejście zagroził. Tłum jest wprawdzie ciemny, a wodzowie mają umysły światłe. Ale czemu im kazali grobu pilnować? Żali na dnie ich światłych umysłów mroczyło się przypuszczenie, iż mogłoby się stać to, co tłum mówi? Komu wierzyć a komu nie wierzyć, jeżeli ludzie ciemni opowiadają rzeczy nieprawdopodobne, a ludzie światli tak się zachowują, jak gdyby się zabezpieczali przeciwko zdarzeniom nieprawdopodobnym.

W tej chwili poczuł żołnierz na ręce, zakrywającej twarz, ciepło bijące od wschodu. Zadrżały pod nim nogi. Skoczył do towarzyszków i począł nimi potrząsać. Ale sen żołnierski nie pierzcha łatwo. Paniczny przestрах ogarnął żołnierza. Szum jakiś napęłnił mu uszy, szum i dzwonięcie, potem jakby grzmot głuchy, przeciągły. Nakrył głowę płaszczem, stracił pamięć. Zdawało mu się, że ziemia zadrżała, że kilka postaci przemknęło koło niego...

Nagle uczył jakąś dłoń, która lekko dotknęła jego ramienia. Dookoła panowała cisza. Odślonił głowę. Światło słoneczne zalewało świat i białymi promieniami wpadało w ciemny otwór grobu. Kamień był odwalony. Żołnierze leżeli dokoła w uśpieniu. Jakaś jasna postać kobieca dotykała dłonią jego ramienia i nachylając ku niemu zatroskaną twarz, spytała cicho ze łzami w głosie:

— Nie widziałeś żołnierzu dokąd On się oddalił?...

JÓZEF NAUMIUK

MOJA TUŁACZKA PO EUROPIE

Tego samego dnia udaliśmy się do wioski Irsch na południowy zachód od Trewiru. Tam zetknąłem się z amerykańskim żołnierzem, który okazał się metodystą. Ucieszyłem się bardzo, że spotykam współwyznawcę. Już chciałem rzucić się mu na szyję, lecz w porę zauważyłem, że Amerykanin wcale nie podzielał mojej radości. Nic

dziwnego: stał na warcie. Nie omieszkał jednak powiedzieć o mnie swojemu dowódcy, bo oto w kilka godzin później zostałem tłumaczem w Irsch.

Pierwszą moją czynnością było spędzenie wszystkich mieszkańców wioski do budynku kościelnego, gdzie musieli pozostać przez dwa dni. W tym czasie żołnierze stacjonujący w Irsch plądrowali domy, niszcząc co się dało, lamentującym w kościele Niemcom. Administrator miejscowej rzymsko-katolickiej parafii, gdy się dowiedział, że jestem pastorem, zaprosił mnie na plebanię i odstąpił własną sypialnię, a sam spał na podłodze. Leżąc w czystym i wygodnym łóżku nie mogłem uwierzyć, że to co się ze mną działo, było rzeczywistością. Przecież kilka dni temu poniewierałem się jak bezpański pies po rowach, stajniach, szopach i piwnicach. I ten sam proboszcz nie pozwoliłby Polakowi zatrzymać się chociażby na pięć minut w swojej kuchni.

Po dwóch tygodniach opuściłem Irsch i udałem się do Trewiru, gdzie w dawnych koszarach powstał obóz dla obcokrajowców, zwany przez Amerykanów w skrócie „D. P. C.” Obóz ten wywarł na mnie jak najgorsze wrażenie. Proszę sobie wyobrazić taką mozaikę: 5 tysięcy Włochów, 4 tysiące Rosjan i Ukraińców, 3 tysiące Polaków, tysiące Francuzów, setki Czechów, Rumunów, Holendrów, Greków i innych. Wszystko to w jednym obozie. Brud, rozpusta, pijaństwo, rabunki, bójkі, kończące się często śmiercią kilku osób — wytworzyły atmosferę, w której trudno było wprost oddychać.

Aby nie dostać obłędu zacząłem szukać zajęcia. Najpierw postanowiłem wydawać polską gazetkę obozową. Powstał „komitet redakcyjny”, lecz brak maszyny do pisania, powielacza i radia uniemożliwił wprowadzenie w życie tego planu. Następnie usiłowałem zorganizować szkołę dla polskich dzieci. Znalazłem kierownika i kilka nauczycielek, lecz i ten projekt upadł wobec braku najprymitywniejszego choćby lokalu.

Zbliżała się Wielkanoc roku 1945. Miała to być pierwsza nasza Wielkanoc na wolności. Dziwna to była wolność za drutami. Ze względu na bezpieczeństwo publiczne Amerykanie otoczyli nasz obóz drutem kolczastym, a poza nim rozstawili gęsto warty. W poniedziałek Wielkiego Tygodnia komendant obozu zebrał kilkunastu Polaków spośród inteligencji obozowej, aby się zastanowić nad pytaniem: jak urządzić nabożeństwo wielkanocne? Po dłuższej naradzie powzięto następujące uchwały: 1. Nabożeństwo zostanie odprawione w pustej szopie. 2. Mszę odprawi włoski kapelan wojskowy. 3. Kazanie wygłosi ks. Józef Naumiuk.

Resztki mojej seminaryjnej łaciny pozwoliły mi porozumieć się z kapelanem co do porządku nabożeństwa. I oto w pierwszy dzień Wielkiej Nocy, przed na prędcę urządzonym ołtarzem, stanęło dwóch ludzi: ksiądz rzymsko-katolicki i pastor Kościoła Metodysty-

cznego. Pierwszy w ornacie, drugi w cywilnym ubraniu. Pierwszy wznosił modły po łacinie, drugi mówił po polsku o cierpieniach Zbawiciela świata, ofierze na Golgocie i o Jego tryumfie w dniu Zmartwychwstania; o cierpieniach narodu polskiego w czasie długich lat wojny i o jego zmartwychwstaniu po zwycięstwie nad okrutnym wrogiem. Obraz umęczonej ojczyzny i myśl o własnych doświadczeniach wycisnęły gorące łzy z niejednego oka. Nadzieja rychłego powrotu do wolnej Polski przemieniła łzy rozpacz na łzy radości, gdy na zakończenie tego niezwykłego nabożeństwa zabrzmiała pieśń wielkanocna: „Wesoły nam dzień dziś nastał..“

Jeszcze tylko dwa podobne nabożeństwa odbyły się na terenie naszego obozu. Włosi bowiem wraz z kapelanem odjechali do innego miasta, a szopę, zamienioną przez nas na kaplicę, zajęli świeżo przybyli Serbowie.

Zniechęcony tym nowym niepowodzeniem przeniósłem się do obozu zorganizowanego dla byłych wojskowych, gdzie otrzymałem „posadę” tłumacza i szefa kancelarii. Czystość panująca w koszarach, rygor wojskowy, dobre wyżywienie, umundurowanie i praca dodatkowo wpłynęły na moje stargane nerwy. Oprócz tego rozeszła się wieść, że Amerykanie, po repatriacji obywateli radzieckich, odwiozą nas do Polski. Dnia 7 czerwca 1945 r. nadszedł rozkaz przygotowania się do odjazdu. Na drugi dzień zajęły ciężarówki aby nas odwieść do najbliższej, niezniszczonej stacji. Jakież było nasze zdziwienie, gdy po całodziennym podróży, znaleźliśmy się we Francji, w mieście Reims. Tam w obozie „Pułaski” spotkaliśmy setki takich jak my, zaciągniętych do służby wartowniczej. Na nic zdały się nasze protesty, że nie chcemy być wartownikami. Po upływie dwunastu godzin jechaliśmy znów ciężarówkami, tym razem do Troyes aby zastąpić wracających do ojczyzny Jugosłowian.

Na tym miejscu rozpocząłem swoją przymusową karierę w ten sposób: zanim zdążyliśmy zająć wyznaczone nam koszary, nowy nasz dowódca, kapitan zza Oceanu, rozgniewał się na jednego z naszych kaprali, który składał swój bagaż na niewłaściwym miejscu. Widząc, że krzyk nic nie pomaga, kapitan chwycił kij, leżący pod nogami, z zamiarem uderzenia Polaka. Spostrzegłszy na co się zanosi, podszedłem do kapitana i rzekłem, siłąc się na spokój: „Kapitanie, czy ci nie wstyd tak krzyczeć? Przecież ten człowiek wcale ciebie nie rozumie!”

— „To co, mam na was sprowadzić karabiny maszynowe?” — zapytał zbity z tropu kapitan.

— „Karabiny maszynowe, tanki, miotacze min i lotnictwo, albo odrobinę uprzejmości” — odparłem spokojnie i podszedłem do kaprala aby mu wytłumaczyć o co właściwie chodzi. Amerykanin wkrótce się uspokoił. Kiedy w koszarach zapanował porządek, kapitan przyszedł do mnie, położył rękę na moim ramieniu i zapy-

pytał: „Jak ci na imię?” „Józef” — odpowiedziałem szybko. „Do-
brze Józefie, będziesz moim tłumaczem”. „Dziękuję ci kapitanie” —
odpowiedziałem sądząc, że lepiej będzie tłumaczyć, niż stać z kara-
binem na warcie. Jak się jednak później okazało, byłem w grubym
błędzie. Praca tłumacza w takich warunkach jest bardzo niewdzię-
czna. Nasza kompania miała za zadanie pilnować obozu niemie-
ckich jeńców oraz wielu składów żywności i odzieży. Gdy tylko
nasi rodacy rezejrzeni się w sytuacji i porobili znajomości w Troyes,
rozpoczęły się hulanki tak w dzień jak i w nocy. A że około czte-
rech tysięcy franków pensji nie starczyło, zaczęto kraść, co tylko
było można: czekoladę, papierosy, konserwy, kawę, płaszcze, mun-
dury itd. Oprócz tego nieodpowiednie zachowywanie się na poste-
runkach, jak spanie często w biały dzień, strzelanie bez koniecz-
nej potrzeby oraz samowolne opuszczanie posterunku, sprawiało
wiele kłopotów dla tłumacza. Z jednej strony musiał on słuchać
narzekań Amerykanów niezadowolonych z postępowania naszych
wartowników, z drugiej strony, współrodacy czuli urazę do tłuma-
cza, gdy nie zawsze udawało mu się pokryć ich grzeszki.

Najwyższą karą za kradzież było wydalenie z obozu, czym nasi
wartownicy zbytnio się nie przejmowali. Rozpoczynali wtedy prze-
myt kawy do Niemiec albo udawali się do innego obozu, gdzie ich
przyjmowano z powodu braku wartowników. O wystąpieniu nas do
Polski Amerykanie nie chcieli słyszeć. Zanosilo się więc na dłuższy,
przymusowy pobyt w Troyes.

Dzisiejsza Francja wydaje mi się krajem niezbyt ciekawym,
a szczególnie miasto Troyes, położone w dolinie, pocięte cuchnącymi
kanałami, nad którymi pobudowano farbiarnie. Dziś są one,
z wyjątkiem kilku, nieczynne i znajdują się w ruinie. Wioski, które
widziałem w okolicy Troyes są zaniedbane, kościoły brudne, jak
gdyby nikt się o nie nie troszczył. Pewnej niedzieli wstąpiłem do
katedry; trafiłem na uroczyste nabożeństwo, które celebrował miej-
scowy biskup rzymsko-katolicki. Ku memu wielkiemu zdziwieniu,
olbrzymia katedra świeciła pustkami. Ponieważ miałem trochę
czasu, postanowiłem policzyć obecnych. Oto dokładne dane: 40 kle-
ryków i księży, 30 zakonnic, 85 dziewczynek i chłopców z sierocińca
oraz 90 starców i staruszek. — „Coś z tym rzymskim kato-
licyzmem we Francji jest krucho” — pomyślałem, wychodząc z zim-
nej świątyni.

Po dziewięciu miesiącach nasi zamorscy chlebobdawcy załadowali
nas na samochody i odwieźli aż pod Antwerpię. Tu dla odmiany
umieścili nas w szczerym polu, pod namiotami i kazali pilnować
olbrzymiej ilości starych samochodów. Pierwsza noc w namiocie
była nieprzyjemna, ponieważ padał ulewny deszcz i wiał silny
wiatr. Zdawało się, że lada chwila namiot runie na nas. Gdy na
trzeci dzień rozpogodziło się, zaczęliśmy przyglądać się Belgii.

Piękny to kraj. Wszędzie panuje wzorowy porządek. Ludzie pracowici, uprzejmi, pobożni. Pod względem moralnym stoją daleko wyżej od sąsiadów Francuzów. W stosunku do Polaków ludność pod Antwerpią jest bardzo życzliwa, ponieważ polskie oddziały oswo-bodziły tę część Belgii. Jeżeli chodzi o zatrudnienie obcokrajowców w Belgii, mogą oni uzyskać drogą legalną pracę tylko jako górnicy, służący, lub robotnicy rolni. Pokątnie trudnią się czym kto może. Gdy pierwszy raz przybyłem do Brukseli przy dworcu powitali mnie nasi rodacy z Nalewek: „franki kupuję, złoto kupuję”.

Po dwóch miesiącach pobytu w Belgii otrzymałem od Brata Su-perintendenta Najdera depszę następującej treści: „Żona z teściową w Katowicach, wracaj do pracy”. — Od tej chwili duchem przeniosłem się do Polski aczkolwiek ciałem pozostawałem jeszcze na obczyźnie. Trwało to już jednak krótko. Chęć powrotu do ojczyzny przewyciężyła wszelkie trudności. Dnia 7 maja 1946 r. udałem się do Metzu, do polskiego obozu repatriacyjnego. Tam spotkała mnie przykra niespodzianka. Francuzi nie chcieli przyjąć mnie do obozu, ponieważ pracowałem u Amerykanów. Znajomość języka rosyjskie-go wyratowała mnie z tej nowej opresji. Tłumaczem w obozie był stary Francuz, który mówił po rosyjsku. Słyszając, że i ja znam ten język, poczuł do mnie sympatię i poradził co mam robić, aby wrócić zaraz do Polski. Tego samego dnia francuskie ministerstwo opieki nad uchodźcami wydało mi dokument, na podstawie którego obóz repatriacyjny musiał mnie przyjąć i odesłać do Ojczyzny. Dnia 19 maja ub. roku przyjechałem do Dziedzic, tak samo pociągiem to-warowym, jak wyjechałem z Polski. Różnica była jednak wielka: opuszczałem kraj jako niewolnik z rozpaczą w sercu — wracałem wolny do wolnej ojczyzny, do rodziny i pracy w Kościele. Nic też dziwnego, że z głębi duszy, przepelniony wdzięcznością ku Panu, wołałem zbliżając się do Katowic:

„TYŚ WYBAWICIEL MÓJ OD NIEPRZYJACIÓŁ MOICH, OD
MEŻA DRAPIEŻNEGO WYRWAŁEŚ MNIE. PRZETO BĘDĘ CIĘ
WYZNAWAŁ PANIE, MIĘDZY NARODAMI, A BĘDĘ ŚPIEWAŁ
IMIENIOWI TWEMU”.

(Psalm 18, 49—50.)

LEONTYNA NAJDEROWA

TRZY RODZAJE SUMIENIA

Istnieją trzy rodzaje sumienia: 1) sumienie uśpione; 2) sumienie żywe, wrażliwe, subtelne; 3) sumienie zabite. Dlatego można twierdzić stanowczo, że istnieją trzy kategorie ludzi, tak jak istnieją trzy rodzaje sumienia. Do jednej z tych trzech grup człowiek musi należeć.

I) **Jakie jest sumienie uśpione?** Oto słowa z Nowego Testamentu:

„Ocuć się, który śpisz i powstań od umarłych, a oświeci cię Chrystus” (Efez. 5, w. 14). Do tej kategorii można zaliczyć tych, którzy przez zaniedbywanie codziennej modlitwy i codziennego czytania Słowa Bożego nie mają kontaktu z Bogiem. Gdy zapytać takiego człowieka, czy ma pokój wewnętrzny, czy posiada radość zbawienia — odpowiada bez wahania: „A któż to może wiedzieć? Nikogo nie zabiłem, nikomu nic nie ukradłem, jestem w zupełnym porządku wobec Boga i ludzi!“. — A jednak Chrystus nie przyjmuje do swego Królestwa, takich, którzy nic złego nie uczynili, a którzy jednocześnie i nic dobrego nie starali się uczynić na ziemi. Oto słowa z Nowego Testamentu: „Znam uczynki twoje, żeś nie jest ani zimny ani gorący; bodajżeś był zimny, albo gorący! a tak, ponieważ letni, a ani zimny, ani gorący, wyrzucę cię z ust moich i t. d. (Objawienie św. Jana 3 od 15—22). Lękajmy się takiego stanu duchowej drzemki, niebezpieczny to stan i przechodzi łatwo w stan duchowej śmierci.

II) **Drugi rodzaj sumienia**, to sumienie żywe, wrażliwe, czułe jak igła magnetyczna, drży przy najmniejszym poruszeniu serca. Ludzie tej kategorii nie czują się doskonałymi, są nawet zawstyżeni, gdy im kto zalety ich przypomina. Ci ludzie przez modlitwę i systematyczne czytanie Ewangelii, widzą rzeczy nieskończenie doskonalsze w Królestwie ducha i tym bardziej odczuwają swoją słabość i nieużyteczność. Każdy nietakt, każde słowo nieodpowiednie, każdy objaw egoizmu, który znajdują w własnej duszy napelnia ich trwogą i smutkiem. Tymbardziej odczuwają swoją małość im bardziej doznali objawienia doskonałości żywego i wiecznie działającego Chrystusa. Starajmy się, by przez modlitwę i czytanie Słowa Bożego dojść do tej wrażliwości wewnętrznej. Chrystus do swego Królestwa wprowadza tylko ludzi aktywnych, pracowitych, czynnych, przynoszących owoce godne pokuty i duchowego życia. Kto zatraci własne „ja” w świetle materii, ten odnajdzie je w Królestwie ducha. Oto słowa z Ewangelii: „Albowiem ktoby chciał zachować duszę swą straci ją, a ktoby stracił duszę swą dla mnie i dla Ewangelii ten ją zachowa”. (Mar. 8, w. 35). „Kto miłuje duszę swoją, utraci ją, a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ku wiecznemu żywotowi strzeże jej (Jan 12, w. 25). Gdy milknie „ja” materialne, wówczas odzywa się „ja” wewnętrzne, ale w jakże zmienionej formie. Nie jest już samotne, tworzy jakoby całość z nieskończonością, jest sobą a jednocześnie jest jakby narzędziem tej niepojętej Siły Dobra, które obejmuje taką jednostkę i wprowadza ją w szczęśliwy stan radości wewnętrznej.

III) **Trzeci rodzaj sumienia**, to sumienie zabite. Takie sumienie posiadał Hitler i wykonawcy jego woli. Takie sumienie posiadają mordercy, oszuści, cynicy. „Zapłatą za grzech jest śmierć” (Rzym. 6, w. 23). Pierwsza zbrodnia Hitlera zamordowała przede wszystkim

jego samego. Mordował on będąc już sam duchowym trupem. Zapłatą za grzech jest śmierć, śmierć ducha.

6 przykazanie Boże zawarte w Starym Testamencie „Nie zabijaj” — Chrystus przedstawił nam w Nowym Testamencie w rozleglejszej jeszcze perspektywie (Mat. 5, 21—22). Sąd równy mordercom czeka także tych, którzy bez przyczyny gniewają się na braci swoich, którzy o bliźnich swoich myślą źle, mówią źle, którzy zabijają ich cześć i honor, którzy postępowaniem swoim złośliwym i bez serca zabijają dusze ludzkie.

Surowa krytyka i niesprawiedliwy sąd może zabić w człowieku wszelki poryw dla Dobra i Doskonałości, może go zniechęcić do pracy nad sobą, a nawet odebrać mu wiarę w Boga i zbawienie, które mamy w Chrystusie. Przed tego rodzaju ludźmi przestrzega Chrystus uczniów swoich: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą; ale raczej bójcie się tego, który może i duszę i ciało zatracić w piekielnym ogniu” (Mat. 10, 18).

Nie sądźmy bliźnich naszych naszymi słowami, naszymi nieżyczliwymi myślami nie zabijajmy ich czci, ich honoru, ich dobrego imienia, aby nas Chrystus na sądzie ostatecznym nie postawił tam, gdzie staną mordercy.

K O L U M N A M Ł O D Y C H

W bieżącej „Kolumnie” zapoznamy się z fragmentami dnia studentów Kolegium Biblijnego w Warszawie, w którym młodzi bracia z rozmaitych stron Polski kształcą się i przygotowują do objęcia urzędów kaznodziejskich w Kościele Metodystycznym.

„GDY ZAŚ PAN ZAWRÓCIŁ POJMANÝCH Z SJONU, BYLIŚMY JAKO CI, KTÓRYM SIĘ ŚNI”. Psalm 126, 1.

Dr Chambers, superintendent naszego Kościoła, jest wielkim przyjacielem młodzieży. O godzinie wpół do dziesiątej wieczorem przychodzi do sali jadalnej Kolegium Biblijnego, aby poprowadzić wieczorne nabożeństwo. Za oknami, na dworze, jest ciemno i mroźno, lecz tu w sali panuje atmosfera ciepła, ciszy i spokoju. Przy stole siedzą zgromadzeni studenci, a także trzy koleżanki, które będą w przyszłości diakonisami naszego Kościoła. Tematem wieczornego rozmyślenia jest Psalm 126. Dla każdego z obecnych Psalm ten jest bliski i zrozumiały. Każdy poznał, przeżył jarzmo niewoli, każdy z radością, ale i niedowierzaniem, witał dzień wyzwolenia. Wśród obecnych są ci, którzy przeżywali Powstanie Warszawskie i tacy, którzy poniewierali się po obozach i przymusowych robotach. Dr Chambers, który snuje rozmyślenie na temat przeczytanego Psalmu, był więźniem niemieckich obozów przez

blisko 5 lat. Dziś znów pracuje w Polsce jako superintendent okręgu północno-zachodniego i szef Wydziału wydawniczego naszego Kościoła. Wykład na temat Psalmu 126 jest w tym środowisku szczególnie łatwy i zrozumiały. Autor tego Psalmu był więźniem i doznał się radosnego dnia wolności, — tak samo zgromadzeni przy stole słuchacze i przemawiający — dr Chambers. Właśnie opowiada, że kiedy dowiedział się o uwolnieniu z obozu, czuł się jakgdyby był we śnie. I przeciwnie: kiedy był w niewoli, często śnił, że jest wolny, ale to był tylko sen... Po obudzeniu czuło się tylko własną niemoc i bezradność. To tak zwane zjawisko frustracji: daremne wysiłki, próżne porywy. To bywa często treścią snu tych szczególnie, którzy z mozołem nad czymś, częstokroć bezowocnie pracują. Uczucie frustracji, poznanie daremności własnych wysiłków, bywa często udziałem kaznodziei, misjonarzy, ewangelistów, jak już dawno wyraził to prorok Izajasz w słowach: „Któż uwierzył kazaniu naszemu...” Na to muszą być przygotowani pracownicy na niwie Pańskiej, szczególnie w naszym kraju...

Ale psalmista nie kończy swej modlitwy nutą zwątpienia; przeciwnie, nastrój radości i wiary tchnie z jego słów: „Którzy siali ze łzami, żąć będą z wykrzykaniem; tam i sam chodząc z płaczem, rozsiewa lud drogie nasienie, ale zaś przyszedłszy z radością, zność będzie snopy swoje”. Tak już bywa w życiu ludzkim, że każdy początek jest trudny, lecz koniec pracy, okazujący w całości jej owoc, jest radosny. Orka i zasiew i trudzeń włożony, bywa przyczyną smutku — lecz żniwo przynosi radość. O tym powinni pamiętać przyszli kaznodzieje, którzy wiele przeszkód będą mieć w pracy, lecz radosne żniwo wynagrodzi wszystkie trudy.

Kiedy się patrzy na tę grupę młodych ludzi, zgromadzonych na wieczornym nabożeństwie, kiedy ma się w pamięci dni ucisku i niewoli, ulega się doprawdy niepewności — czy to nie sen... A kiedy się odczuje, że to rzeczywistość, uczucie wdzięczności wobec Najwyższego potęguje się jeszcze bardziej. Istotnie, „wielmożne rzeczy Pan uczynił z nami, z czegośmy się bardzo uradowali...”. Ujrzeć dobrotliwe zrządzenie Boże w na pozór prostych i drobnych rzeczach jest doprawdy źródłem radości.



Najlepszym odpoczynkiem po pracy jest czytanie Biblii.

O godzinie 10-tej wspólnym śpiewem kończy się nabożeństwo. Sala jadalna pustoszeje, niektórzy udają się na spoczynek, inni wykorzystają jeszcze niejedną kwadrans nocy dla nauki. Ramo, po szóstej — pobudka. Senior kolegium, brat Jerzy Biczemski, obchodzi sale i budzi kolegów, potrząsając niklowym dzwoneczkiem. Nadchodzi nowy, pracowity dzień, wypełniony zajęciami w Uniwersytecie i w domu. Większość spośród 20 studentów, to zwyczajni i wolni słuchacze Wydziału teologii ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego. Dzień studencki trzeba rozłamać, podzielić pomiędzy plac Zbawiciela i plac Małachowskiego, pomiędzy Kolegium Biblijne i salę wykładową Wydziału. Pomiedzy wykładami a porą ćwiczeń seminaryjnych jest tylko godzina czasu; wtedy trzeba zdążyć na obiad i z powrotem — czasu jest niewiele, zajęć dużo, ale wszystko jakoś się układa przy dobrych chęciach. Kiedy starsi kandydaci spędzają czas na seminariach, młodszy uzupełniają w Kolegium swe ogólne wykształcenie. Wieczorem spotykają się znów wszyscy przy wspólnym stole. Brat Sulikowski, repatriant z Wilna, prowadzi dobry chór studencki. Niektórzy uczestniczą w próbie zespołu, inni uczą się, niektórzy odpoczywają. Najlepszym odpoczynkiem po pracowitym dniu jest czytanie Biblii. O wpół do dziesiątej wieczorem znów rozbrzmiewa pieśń przed medytacją.

Jest mroźna, zimowa noc. Na tle wyskrzzonego gwiazdami nieba rysują się ciemne kontury warszawskich ruin. Na placu Zbawiciela wysoki dom Metodystów zdaje się podpierać granatowe sklepienie niebios. Z poza oświetlonych okien słyhać pieśń pełną radości i życia. W tej chwili cały dom zdaje się tchnąć tężyzną i życiem i urasta wśród martwych gruzów do symbolu twórczej siły...

LUCYNA STĘPNIOWSKA, POZNAŃ.

WIĘCEJ ŚPIEWU!

Motto: „Wysławiajcie Pana na harfie, na lutni, na instrumencie o dziesięciu strunach, śpiewajcie Mu” — Psalm 33, 2.

Znane jest powszechnie powiedzenie: „kto śpiewa podwójnie się modli”. Śpiew jest stary jak świat. Już w raju pierwszy człowiek z zachwytem wsłuchiwał się w śpiew ptasząt i wokół panującą harmonię i sam próbował naśladować słyszane głosy i dźwięki i wyrażać swe uczucia śpiewem. Śpiew i muzyka od Boga pochodzi i dla Jego chwały użytą być powinna.

Dawid — pieśniarz nad pieśniarzami wielbił śpiewem Pana, a jego psalmy są do dnia dzisiejszego najpiękniejszymi hymnami na cześć Stwórcy.

Niewątpliwie, śpiew i muzyka podnoszą myśli i uczucia ku Bogu. Są one miłe Bogu. Ale kto śpiewa lub gra ku chwale Bożej, nie

rozstając się z grzechem, tego pieśni religijne i muzyka są wstrętne Bogu. Pierwsi chrześcijanie w czasie swoich nabożeństw śpiewali i grali. Muzyka była początkowo wyłącznie religijna i wyrażała tęsknotę duszy ludzkiej do Boga. Wielki kompozytor Wagner powiedział: „muzyka, jako sztuka, jest wyłącznym owocem chrześcijaństwa”. Niewątpliwie, wielkie zasługi dla rozwoju muzyki położył Kościół rzymski. Nie mniejsze również zasługi położył na tym polu Kościół ewangelicki. Luter był wielkim miłośnikiem muzyki. Najwięksi kompozytorowie: Mozart, Haydn, Bach i Beethoven — byli dobrymi chrześcijanami. Oratoria „Mesjasz”, „Stworzenie”, „Eliasz”, „Sąd Ostateczny” itd. owiane duchem biblijnym są niezrównanie piękne.

Stworzona przez Kościół Chrześcijański muzyka wywierała i wciąż wywiera błogosławiony wpływ na ducha ludzkiego. Miliony dusz znalazły w muzyce siłę, która je przybliżyła do Boga. Setki tysięcy męczenników z pieśnią na ustach szły na śmierć.

Nasze hymny metodystyczne są naprawdę piękne. Niewyczerpane skarby pieśni posiadamy w naszym śpiewniku. Są tam utwory znanych kompozytorów jak Chopina, Beethovena, Mendelssohna i innych.

Brat sup. Chambers będąc ostatnio w Stanach Zjednoczonych zbierał pieniądze na polskie śpiewniki metodystyczne pod hasłem: „Niech Polska znowu śpiewa”! Nasi bracia zza oceanu nie byli głusi na to wołanie i okazali się hojnymi ofiarodawcami. Skutek widzimy, bo już śpiewamy z drugiego wydania śpiewników.

Nasza młodzież metodystyczna w Polsce, powinna podchwycić wezwanie rzucone już w Ameryce i przy każdym zborze metodystycznym zorganizować chór. Dwie, trzy lub cztery osoby obdarzone głosem i słuchem, mogą dać początek tej pięknej pracy. Wiemy, że śpiew rozgrzewa serca ludzkie, smutnym daje ukojenie, zmęczonych porывa do czynu, wąpiącym odnawia wiarę. Wierzę, że śpiew młodych ludzi nie tylko uświetni nasze nabożeństwa, ale pobudzi członków do aktywniejszej pracy na terenach poszczególnych zborów, a może i niejedną duszę pozyska dla Boga. Kto nie może głosić Słowa Bożego z kazalnicy, niech śpiewa o Dobrym Bogu. Będzie to też pewnego rodzaju ewangelizowanie.

W zborze poznańskim zaczątek chóru dały 3 młode osoby. Obecnie chór młodzieży w Poznaniu liczy 12 osób i systematycznie dwa razy tygodniowo ma lekcje śpiewu. Przy tutejszym zborze istnieje również chór dzieci ze Szkoły Niedzielnej oraz chór kobiet.

Młodzież poznańska apeluje do młodzieży metodystycznej z całej Polski do tworzenia chórow.

Niech pieśnią na cześć Boga Wszechmogącego rozbrzmiewają nasze Kościoły Metodystyczne w całej Polsce

„NIECH POLSKA ZNOWU ŚPIEWA!”

Z ŻYCIA ZBORÓW...

WROCLAW

Jeśli nam szczerze zależy na rozwoju jakiejś organizacji, rzucamy od czasu do czasu spojrzenie wstecz, aby skontrolować nasze czyny i zbadać, czy są one dodatnie czy ujemne. Warunkiem pomyślnego rozwoju są tylko czyny dobrze przemyślane i zgodne z Duchem Chrystusa.

Mimo srogiej zimy, niezwyklej we Wrocławiu, mimo niezupełnie wyremontowanej kaplicy i chłodu tam panującego podczas nabożeńst, życie religijne Zboru wrocławskiego pulsowało żywym tętnem. Złożyły się na to szczęśliwe okoliczności, które uważamy za cenny dar Nieba. Zborownicy z wdzięcznością wspominają niektóre uroczystości w okresie od listopada 1946 do marca 1947. Do uroczystości niejako rodzinnych w obrębie Zboru zaliczamy św. Mikołaja i Gwiazdkę urządzone dla dziatwy wspólnymi siłami z Kołem Misyjonarskiego Stowarzyszenia Kobiet. — W pierwszych dniach stycznia odwiedził nasz Zbór czcigodny Brat Superintendent Najder z Warszawy. Jego kazanie na temat trzech najważniejszych lęków, od których uwolnić nas mocen tylko Pan nasz Jezus Chrystus, pozostały niezatartą i wdzięczną pamięć wśród nas. Bezpośrednio po tym obchodziliśmy „Powszechny tydzień modlitwy”. Modlitwy i wykłady prowadzili oprócz Brata pastora Ostrowskiego — rev. prof. Niemczyk i Bracia Hussak z Lignicy, Musiał z Zaborowszczyzny i Jakimowicz z Wołowa. Oby modlitwy nasze złączone z gorącymi modłami innych Zborów przebłagały Ojca naszego w Niebiesiech i przyczyniły się do rozwinięcia Królestwa Jego w sercach ludzi. — W dniach od 27 lutego do 3 marca gościł u nas czcigodny kochany Brat pastor Szczepkowski, profesor Uniwersytetu w Toruniu. Nie żałował dla nas trudu, sił i drogiego czasu i wygłosił cztery wykłady: 1. Czym jest człowiek. 2. Jezus Chrystus wczoraj i dziś. 3. Jesteśmy dłużnikami. 4. Niechaj w was będą te same myśli, które były w Jezusie Chrystusie.

Jego wykłady zasługiwały przede wszystkim na liczniejszy udział słuchaczy spoza Zboru., ale kaplica nasza znajduje się tak na ubożu, że nawet przy dobrych chęciach trudno do niej trafić pierwszy raz bez przewodnika, szczególnie wieczorem. To obniżyło nieco frekwencję, ale ci którzy słuchali — zachowali słowa głębokiej prawdy we wdzięcznej pamięci. Obu czcigodnym Braciom — Bratu Superintendentowi Najderowi i Bratu pastorowi Szczepkowskiemu składamy tą drogą serdeczne podziękowanie.

(Zofia Wielgus)

WARSZAWA

Rev. Superintendent Konstanty Najder zadeklarował Rządowi R. P. w imieniu Kościoła pomoc dla powodźian i amnestionowanych. Byli więźniowie, opuszczający więzienie Mokotowskie zgłaszają się w domu kościelnym przy placu Zbawiciela, gdzie otrzymują jednorazowy posiłek, pomoc odzieżową i po jednym egzemplarzu Nowego Testamentu. Następnie udają się do swych domów. Władze wydają im bezpłatne bilety kolejowe do miejsca zamieszkania. — W budynku kościelnym przy pl. Zbawiciela otwarta została kuchnia ludowa, wydająca około 200 obiadów dziennie. Z posiłków korzystają bezpłatnie ubodzy rozmaitych wyznań. Posiłek obliczony jest na 1.500 kalorii. — Wybitny uczony znawca spraw słowiańskich a polskich w szczególności William Rose, prof. Uniwersytetu Londyńskiego, bawiąc w stolicy, wygłosił szereg prelekcji naukowych. Prof. Rose jest metodystą i osobistym przyjacielem naszych Superintendentów dra Chambersa i Brata Najdera. —



Kościół Metodystyczny rozciąga wciąż żywą akcję pomocy. Niedawno przyszedł z pomocą wdowom i sierotom po dziennikarzach. Na zdjęciu Brat Superintendent Najder w otoczeniu sierot, przed wejściem do kaplicy w Warszawie.

TARNÓW

Zbór w Tarnowie obchodził drugą rocznicę założenia. Na uroczystościach jubileuszowych bawili jako goście pastory: Kalinowski z Katowic, Burchardt z Warszawy i Benedyktowicz z Krakowa. Było to niejako nagrodą za zawód, którego doznał Tarnów w czasie ewangelizacji z początkiem lutego, kiedy to z powodu mrozów i ustania komunikacji, nikt z zaproszonych prelegentów nie przybył. Mimo to Brat Słotwiński, pastor Zboru tarnowskiego, sam poprowadził tydzień misyjny i dobrze sprostął temu trudnemu zadaniu. Zbór tarnowski jest szczęśliwym posiadaczem własnego budynku dwupiętrowego przy ul. Narutowicza 22. W jednej z sal urządzona jest oka-

zała kaplica. Młodemu Zborowi w Tarnowie z okazji dwulecia istnienia, jego Pastorowi i członkom redakcja „Drogi” składa życzenia pomyślnego rozwoju i Błogosławieństwa Bożego.

SZCZECIN

W roku 1945 powstał tutaj „Polski Zbór chrześcijański Owczarnia Pańska”. Założycielem tej cennej placówki chrześcijańskiej był p. Stanisław Jasiński z Poznania, z zawodu kompozytor i wydawca. Przystępując do organizacji tej placówki wyznaczył on jej za cel skupienie chrześcijan rozmaitych przekonań i kierunków. Głoszenie Ewangelii rozpoczęło się wkrótce. P. Jasiński nie żałował trudów i kosztów. Ogłosił odezwę w „Kurierze Szczecińskim”, rozpowszechnił 3.000 ulotek i wydał własnym kosztem broszurę p. t. „Co to jest Pismo św.”. Zbór rozwijał się tak, że dziś jest dość liczny, co każe pamiętać o słowach Dziejów Apost. 2, 47: „A Pan przydawał zborowi na każdy dzień tych, którzy mieli być zbawieni”. W ubiegłym roku nabożeństwa odbywały się co dwa tygodnie. W pamięci zborowników zapisał się szczególnie dzień 8 sierpnia 1946 r. jako dzień zbratania z Ewangelikami reformowanymi. P. Jasiński pełnił funkcję organizatora i kierownika Zboru w Szczecinie przez 14 miesięcy. Dzięki niestrudżonym staraniom uzyskał dla Zboru przydział poniemieckiego budynku kościelnego przy ul. Stojsława 4. Budynek, zniszczony w 30% zawiera kaplicę na 1.000 osób, salę dla 100 osób, mieszkania dla kaznodziei i personelu kościelnego oraz pokoje gościnne. Z dniem 1 stycznia 1947 r. Zbór szczeciński przeszedł pod zarząd Kościoła Metodystycznego, a dotychczasowy jego kierownik p. Jasiński pozostał jedynie jako członek zarządu zborowego. Urząd kaznodziejski pełnił rev. Dr Pior. — Ostatnio Zbór poniósł dotkliwą stratę materialną. Bandyci — wrogowie Kościoła Metodystycznego przy pomocy drabiny dostali się przez wybite okno do wnętrza Kościoła przy ul. Stojsława 4 i dokonali barbarzyńskiego zniszczenia stylowego organu. Powyrywano wszystkie piszczałki i potratowano nogami. Szatański plan zniszczenia był z całą dokładnością obmyślony i wykonano go nie dla korzyści materialnych, lecz po to, aby udaremnić pracę religijną Kościoła. Tego rodzaju obłęd prawowierności jest hańbą sprawców samego barbarzyństwa i tych, którzy byli ich natchnieniem.

RADOSNYCH I BŁOGOSŁAWIONYCH ŚWIĄT ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO ŻYCZY CZYTELNIKOM

REDAKCJA

CENA ZESZYTU — 5 ZŁ

WYDAWCA: KOŚCIÓŁ METODYSTYCZNY w R. P. REDAKTOR: WITOLD BENEDYKTOWICZ
ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. STRADOM 11/21

DRUKARNIA PAŃSTWOWA NR 1, KRAKÓW, WIELOPOLE 1

M—17284